

# OGNIWO

**DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI**  
Z BEZPŁATNYM DODATKIEM „OGNIWKO” I POWIEŚCIOWYM

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM - OŚWIA-  
TOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM

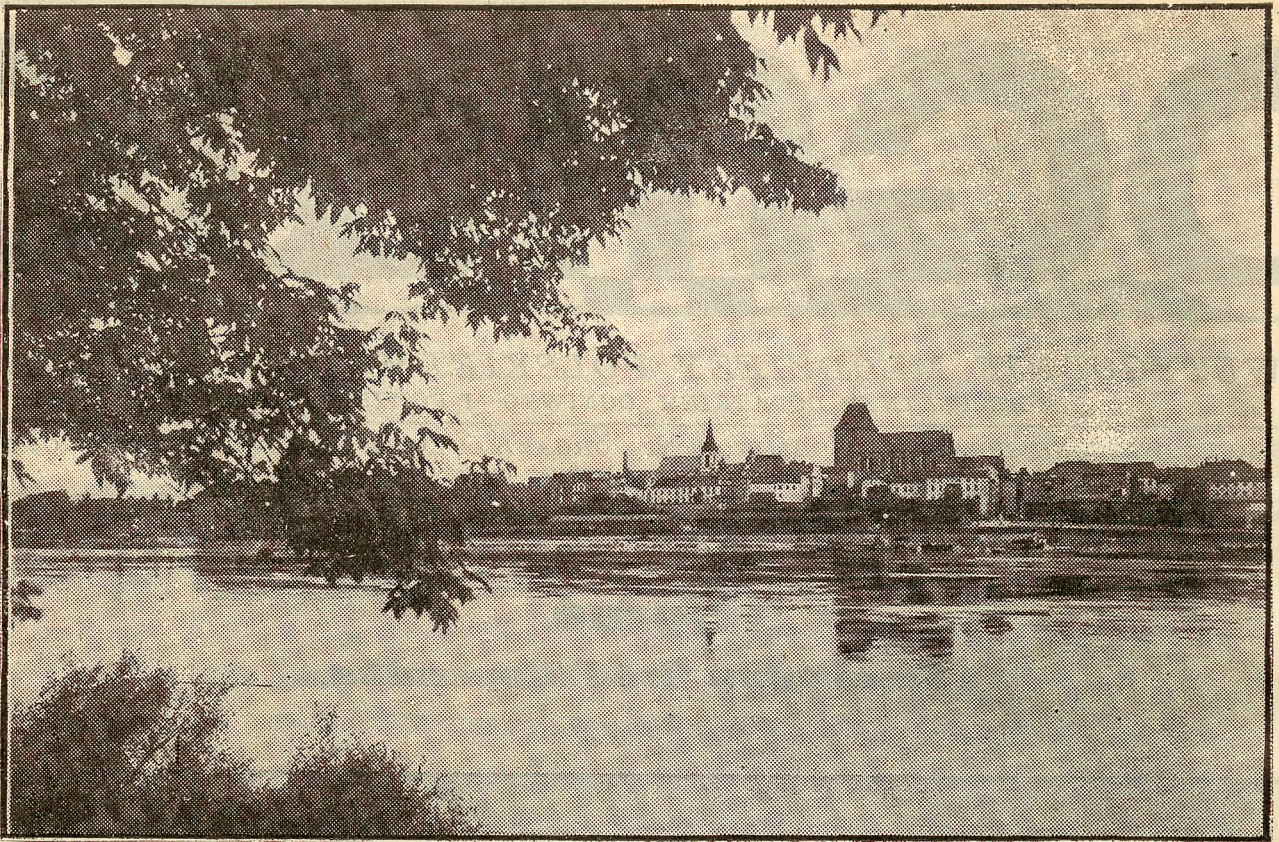
## **Toruń**

**Starożytny Gród Kopernika.**



Widok z wieży ratuszowej na rynek i miasto. Na plan pierwszy wybija się potężna sylweta kościoła Maryjackiego.



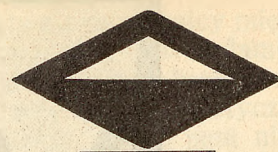
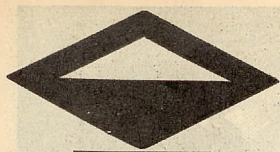


Ogólny widok Torunia od strony Wisły z charakterystyczną, ściętą wieżą kościoła św. Jana.



Ogólny widok ratusza z rynkiem w dniu targowym.



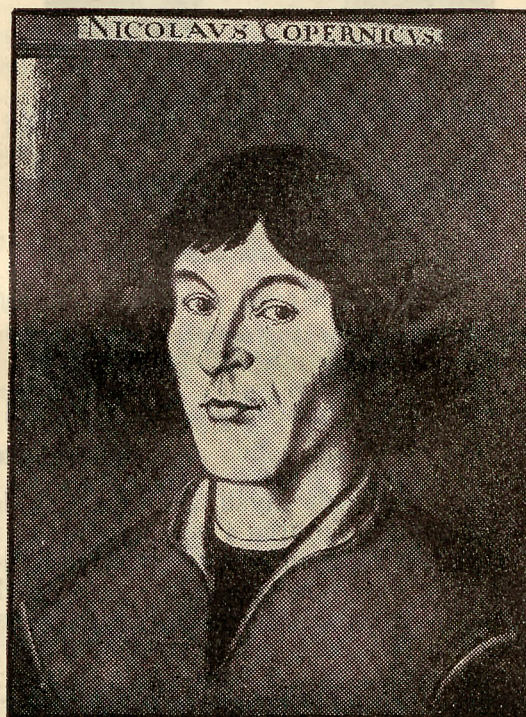


## Mikołaj Kopernik.

(W rocznicę urodzin — 19. II. 1473 r.)

Wiek XVI-y to okres Polski silnej i mocarstwowej. Ale nie tylko politycznie jest polska silna. Wewnątrz kraju rośnie dobrobyt i zamożność, a wraz z tym oświata oraz potrzeby kulturalne społeczeństwa. Szlachta utrzymuje żywe stosunki z zachodem i wysyła swych synów na studia nie do Akademii krakowskiej, która tkwiła w przekonaniach średniowiecznych, w scholastyce, a potępiała prądy nowe, ale do Padwy, Bolonii lub Francji. To też w Polsce prądy zachodnie, a szczególnie humanizmu znajdują podatny grunt. W tym okresie powstaje wiele poetów i uczonych, jak »poeta lauriatus« — Klemens Janicki, Andrzej Krzycki i inni. Największą jednak chlubą Polski tego okresu — to Mikołaj Kopernik. Pochodził on z rodziny mieszczańskiej, polskiej, która przybywszy w XIV wieku ze Śląska osiadła w Toruniu. Tu urodził się Mikołaj w r. 1473. Początkowe nauki pobierał w szkole katedralnej we Włocławku, następnie przez dwa lata uczęszczał do Akademii krakowskiej, gdzie słuchał wykładów z zakresu matematyki i astronomii słynnego wówczas polskiego uczonego Wojciecha z Brudzewa. Jego wuj, biskup warmiński, przeznaczył Mikołaja i jego brata Andrzeja do stanu duchownego oraz pragnął ich mieć przy sobie, na dworze biskupim, jako kanoników. A ponieważ statuty kapituły warmińskiej żądały od jej kanoników wyższego wykształcenia, dlatego w celu dopełnienia swych studiów wyjeżdża Kopernik w roku 1496 do sławnego wówczas uniwersytetu w Bolonii, gdzie zapisuje się na wykłady prawa kanonicznego. W wolnych chwilach czując pociąg do astronomii robi częste spostrzeżenia astronomiczne wraz z Dominikiem Nowarą, profesorem tegoż uniwersytetu. W r. 1500 udaje się do Rzymu, gdzie wykłada matematykę i astronomię. Zostawszy kanonikiem warmińskim jakiś czas przebywa w kraju, później zaś wraca do Włoch, aby się kształcić w medycynie na uniwersytecie w Padwie. Otrzymał wreszcie stopień doktora prawa kanonicznego, w roku 1506 wraca do ojczyzny i na stałe osiada jako kanonik warmiński w Fromborku. Już we Włoszech zajmując się astronomią najwięcej czasu poświęcał badaniom i rozmyśleniom nad układem wszechświata. Na podstawie swych bystrych spostrzeżeń dowiódł, iż dotychczasowy system, którego twórca Ptolemeusz aleksandryjski twierdził, iż słońce i inne planety krążą około ziemi, nieruchomo zawieszony, jest błędny. Kopernik rozważając nad tym dotychczasowym, geocentrycznym systemem przekonał się, że były w nim liczne sprzeczności, i że wiele zjawisk nie dało by się za pomocą niego wcale wyjaśnić. Dlatego zbudował system nowy, heliocentryczny, według którego słońce jest ośrodkowym punktem, około którego krążą ziemia i inne planety po kołach. Teoria ta stała się zasadą i podstawą

nowego układu wszechświata, ponieważ jasno tłumaczyła wszystkie zjawiska, dotąd niewyjaśnione, a także popierały ją spostrzeżenia astronomiczne i badania naukowe licznych uczonych, jak Keplera, Newtona i Galileusza. Cały ten swój system spisał i objaśnił w łacińskim dziele o sześciu księgach p. t. »O obrotach ciał niebieskich«, wydanym w roku jego śmierci 1543. Wprawdzie zrazu dzieło to zostało przez Kościół potępione jako niezgodne z Pismem św., ale później, kiedy jego nauka zyskiwała wśród uczonych coraz więcej zwolenników, którzy praktycznie, w spostrzeżeniach i badaniach

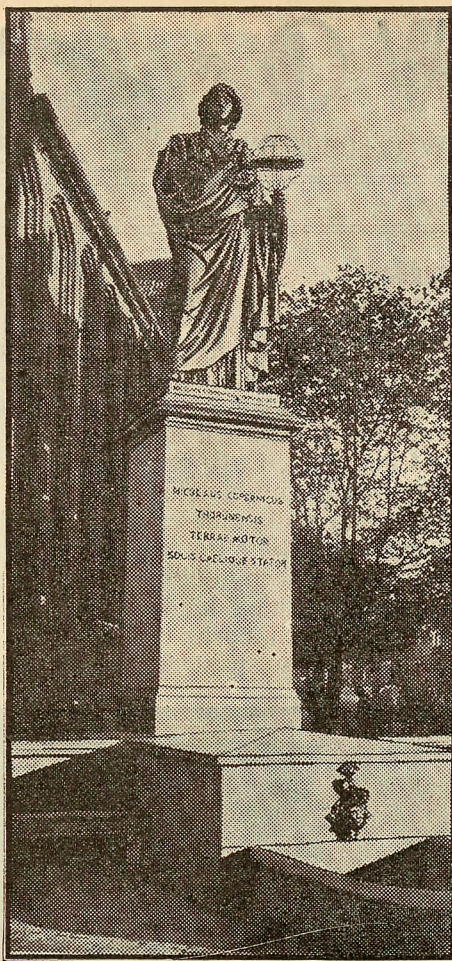


Mikołaj Kopernik

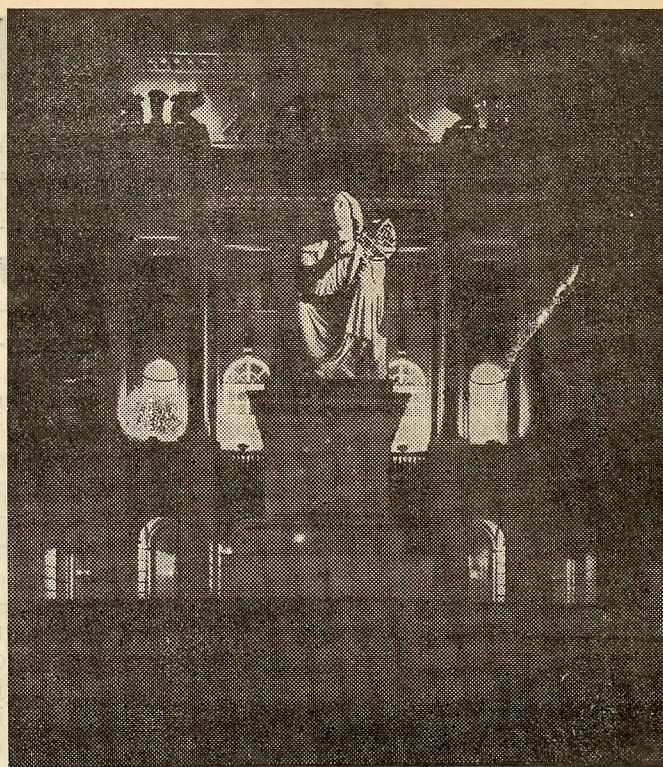
dowodili jej słuszności, Kościół ją także uznał. Ta nowa teoria Kopernika ma doniosłe znaczenie nie tylko czysto naukowe, ale także społeczne. Kopernik bowiem przez obalenie starej, średniowiecznej nauki, protegowanej przez Kościół, dowiódł niezbicie, iż cała ta nauka średniowieczna się przeżywa, iż potrzeba nauki nowej, realnej, założonej na podstawach i spostrzeżeniach naukowych. W całej Europie następuje sekularyzacja, zeświecczenie nauki. Rozwijają się nauki przyrodnicze i szeregi uczonych XVII-ego wieku kontynuują i uzupełniają jego teorię. Nauka więc Kopernika oddziaływała i nadała nowy kierunek całej późniejszej nauce przyrodniczej. Słusznie więc Polska może być dumna ze swego syna, który »zatrzymał słońce a poruszył ziemię«.

M. J.





Pomnik M. Kopernika przed ratuszem w Toruniu.



Pomnik Mikołaja Kopernika w Warszawie.

Wzniesiony został w r. 1824 staraniem, a częściowo i kosztem wielkiego uczonego polskiego i męża stanu — Stanisława Staszica. Kopernik został przedstawiony w klasycznej postaci, siedzący, z planetarium w rękę, przez największego rzeźbiarza tych czasów, duńczyka B. Thorwaldsena. Stanowi on zakończenie przepięknej perspektywy Krakowskiego Przedmieścia, a za tło służy mu wspaniały gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

### Rozmowa z papugą.

— I pan naprawdę myśli, że mnie jest dobrze w tej Warszawie? Katorga i tyle. Człowiek nigdy nie jest sobą. Na każdym kroku szyderstwo i kpiny. I gryzę się w język co chwila i pilnuję się tu kucharki, tam stróża. W tramwaju, przy telefonie, w dancingu, w teatrze. Wszędzie. Już mam dosyć. Jak Boga kocham nie wytrzymam. Powiadam panu...

Powiadala mi te gorzkie rzeczy z bardzo słodkim uśmiechem pani Żańcia, urodzona ongiś bardzo dawno Małopolanka, od trzech lat kwitnąca bujnie pod stołecznym niebem Warszawy.

— Ale i o co chodzi, droga pani?

— O to, że człowiek nie znajduje uznania nawet tam, gdzie by na pewno znaleźć powinien. Bo przypuszczam, że kto jak kto, ale pan to chyba odrazu... Nie, to okropne!

— Ale niechże się wreszcie dowiem, co jest tak dalece okropne?

— To, że pan we mnie dotąd żadnej zmiany nie zauważył. A ja przecież od trzech lat...

Zachodziłem na gwałt w głowę jaką by przyjemną zmianę w pani Żańci odszukać. Schudła? Przeszła dramat miłosny? Gimnastykowała się pod szafą dla utrzymania linii? Doszedłem wreszcie. Pni Żańcia postanowiła zrzucić z siebie hańbiącą skórę wschodniej Małopolanki i pozbyć się wszystkiego, co trąci prowincją.

— I to w pocie czoła, proszę pana. Tak. Muszę zostać rasową, pełnej krwi warszawianką. I już prawie jestem, a tylko pan tego nie dostrzegł odrazu!

— Ale, na miłość Boską, jakże ja mam odrazu poznać tę pani warszawskość. Po czym? Po zapachu, po kolorze?

— Cuś takiego! Ji znowu kpinki. Wszak...

Teraz dopiero byłem w domu. Po tym »wszaku« i »cusi« poznałem, o co chodzi: o uwarszawienie języka, o pilne i rychłe ustołeczniczenie lwowskiego dialektu. Pani Żańcia wzięła się do pracy sprytnie: lwowskie »coproszę« wymieniła na warszawskiego »cusiaktusia«, przestała »tajojczec« i całować rączki, każde »i« dopingowała mazowiecką jotą, a przede wszystkim nauczyła się dwudziestu frazesów z Krakowskiego Przedmieścia.

— Nie dwudziestu, ale dwustu! — wykrzyknęła zaperzona. — Proszę o egzamin na dowód, że zmieniłam do gruntu sposób mówienia w salonie, w kuchni, w buduarze i w każdej wogóle okoliczności.

— Nie wątpię, tylko...

— Tylko nie przerywać! Panie, czy pan wie, że ja wyparłam się ukochanej kminkowej zupy, z której tu ryczą na potęgę, dla ich obrzydliwej czerniny? Nie znoszę »buchtów« ani »karmenadli«,



jadam natomiast faworki, landrynki, wentalnie kurczaki na szmalcu. Mało panu? Jadąc do dancingu, wsiałam w dorózkę, nie noszę nigdy mesztów tylko pantofelki, włosy kręcę żelazkiem a nie rurkami, chodzę wyłącznie do krawcowej nigdy do krawczyni. Jeszcze mało? No więc powiem więcej: Nie siąkam nosa, nie pozwalam ścielić łóżek, nie świecę lampy.

— A gdzie państwo w takim razie mieszkają. W baraku, w kryminale?

— Pan chyba udaje głupiego? Przecież tych galicjaków, co nie wiedzą, że nos się uciera, lampę zapala, a łóżka szykuje, pokazują u nas ze wstrętem palcami.

— A cóż szanowny małżonek? — zagadnałem, żeby zmienić temat.

— Faj...! To fenomenalny matoł wogóle.

— O ile pamiętam, dawniej zwykła pani mówić: ten stary osioł. A więc i w tym zmiana, no, no!

— Osioł w każdym bądź razie.

— Więc cóż ten stary osioł?

— Proszę sobie wyobrazić: zagroził mi rozwodem, posłyszawszy w drugim pokoju, jak jeden z moich przyjaciół obiecał mi podnieść sukienkę na imieniny.

— A więc to jakiś dzielny człowiek ten pani osioł.

— Osioł powtarzam raz jeszcze.

— Niech będzie osioł, ale dbający o to, aby jego małżonka nie powtarzała wyrażenia warszawskich kucharek, którym rewirowi rosyjscy padnasil padarki w dniu imienin.

— Otóż ja, mój panie, wolę z warszawską kucharką zgubić, niż z lwowskim kamienicznikiem znaleźć. Z waszą kołomyjską poprawnością daleko w Warszawie nie zajadzie.

Tu już mnie diabli na papugę wzięli. I użyłem sobie, ile się wlało. I mówiłem tak:

— To szanowna pani, rasowa warszawianka z Mostów Wielkich przypuszcza, że wystarczy zmienić tych kilkadziesiąt słoweczek z kuchni, sklepu i przedpokoju, którymi się lwowski dialekt różni od warszawskiego i już będzie wszystko dobrze! Że wystarczy nazwać kiełbasę parówką, zeszyt kajetem a kokotę dziewczynką? Nie, droga pani! To jest najmniesze i tym pani swego lwowskiego pochodzenia nie zatrze. O różnicy dialektu świadczą pewne cechy głosowe, fonetyczne, z którymi człowiek przychodzi na świat i które są taką przyrodzoną właściwością jak ruchy, chód, jak wreszcie ten pieprzyk na szanownej szyjce łaskawej pani. Niechże go pani da na ten przykład zoperować.

— Ani mi się śni! Bo i po co? Nie tylko mi nie przeszkadza, ale nawet...

— Nawet dodaje uroku.

— Więc pan jednym słowem śmie twierdzić, że ten ohydny żargon lwowski jest uroczy?

— Ani myślę. Język lwowski, o ile o takim mówić można, jest w istocie bardzo brzydki. Ale cóż znaczy piękność czy brzydota języka. To nonsens. Učení w piśmie odnoszą się doń tak, jak do każdego innego daru Bożego, jak do każdego zjawiska przyrody. Nie ma wymowy »najbrzydszej«

i »najładniejszej« tak, jak na łące nie ma różnicy między kwiatami a na niebie pomiędzy gwiazdami. Botanik nie dzieli kwiatów na piękne i brzydkie, astronom też nie kieruje się wrażeniami estetycznymi. Są różne w Polsce dialekty (czyż pani nie będzie teraz głowy zawracał) jest i lwowski także. To właśnie jest dowodem wielkości Rzeczypospolitej, że istnieją w niej różnice językowe w głosowni, w fonetyce międzywyrazowej, w słownictwie. Niech sobie dalej we Lwowie stoją piętrowe kamienice i składy drzewa rębatego. Nie potrzeba co kwadrans całować rączek, ani używać »szpanegli« do »papendeklu«, ale mimo to należy chronić w pewnej mierze językową odrębność tak, jak się chroni zabytki przyrody, przeszłości, czy architektury. Odebrać językowi jego koloryt lokalny to tak, jak utłenić się na blondynkę lub umalować na podłotkę. To często świadczy o braku szacunku dla siebie. I nie żał mi wcale, że się z pani śmieję w Warszawie na każdym kroku. Nie czyni tego Neapolitanka przyjeżdżająca do Wenecji, ani córka Prowansji w Paryżu. Zmądrzały już pod tym względem przynajmniej.

— Nie zaprzeczy jednak mój nudny mentor, że małopolanie mają najbrzydszą wymowę, a najładniej po polsku mówią...

— W każdym bądź razie nie warszawiacy, jeśli już o to chodzi. Chłopi nad górnym Wieprzem, pomiędzy Lublinem a Zamościem. Jeśli już u kogo chce się pani uczyć poprawnej polszczyzny, to raczej u furmana z Krasnego Stawu, niż u kucharki z Nowego Świata!

— Zawracanie głowy. Ja wiem swoje, a pan swoje. Dość że po trzech latach pracy oduczyłam się obrzydliwego dialektu i wcale nie żałuję pracy, jaką w to włożyłam. Bo mówię poprawnie po polsku!

Na szczęście dalszą rozmowę przerwał dzwonek i depesza. Pani Żańcia skoczyła jak oparzona. I krzyczała swym dawnym, obfitym a rozciągliwym głosem.

— Ta coś tyż...! Ta ni może być. Wystaw pan sobie.

— Do usług, łaskawej pani. Ale o co chodzi, o jaką wystawę?

— Wystaw pan sobie, ta przynoooszą go.

Nie rozumiałem, kogo, gdzie i po co przynoszą.

— Ale kogo?

— Mego męża.

Teraz dopiero struchlałem, przypuszczając jakiś wypadek. Przypadki chodzą po ludziach, bo inaczej ludzie chodzili by po przypadkach. Pewnie tego dzielnego »starego osła« zaraz tu przyniosą. Biedaczysko!

— Ale co się stało właściwie pani małżonkowi?

— Ta idź pan, nic si nie stało, mówię przecież, że przynoooszą go.

— Ach tak. I gdzież to go przenoszą.

— Z Warszawy do Małopolski z powrotem.

Tak zwałił się w gruzy mozolny, trzyletni wysiłek pani Żańci, która daremnie brała lekcje poprawnej mowy polskiej u warszawskich kucharek. Naprawdę żał mi się zrobiło papugi.



**Kamrat.**

Jeszcze wczoraj widać było zarys słońca w postaci wąskiego kręgu, zawieszzonego w niewiadomym. Żółta tarcza zasuwana wciąż welonami szarych płacht, coraz gęstszych, ale napieranych jeszcze z północy wiatrem, który mężnie walczył o kształt ziemi i płaszczyznę morza, ginęła raz po raz, lecz pojawiała się znowu. W nocy Norda ustała zupełnie; wycofała się z nierównej walki. Pułap mgły pochylił się nisko, położył się miękką, duszącą piersią na wodach, wypełnił przestrzeń między niebem, a morzem, stał się jedynobytem ogarniającym świat realny. I świat przestał istnieć, zamienił się w bezkształtną mgławicę. Można jeszcze było tylko zauważyć poszczególne olbrzymy mgielne, posuwające się bezustannie z północnego-zachodu na południe, wysokie proste ściany białości, która ścinana od dołu rozpyływała się w długie, szare pasma. Wreszcie i ten pochód fantomów ustał. Wszystko zamieniło się w bezkształt i bezruch wypełniony mokrą gęstością bieli nieprzeniknionej. A z chwilą, gdy nie było już żadnych wrażeń wzrokowych, pozostała, jako jedyna impresja dźwięków, głuchy i przeciągły syreny portowej. Tak, jak nieustępliwa zdawała się i wieczną ta szara nicłość mgielna, podobnie nieustępliwym stawał się głos syreny. Raz po raz tylko pogłos wielkiej tuby rozbił się na dalsze, towarzyszące mu dźwięki. To krzykiem mniejszych syren okrętowych obwieszczały się zagubione w morzu istności ludzkie.

Rybacy siedzieli wszyscy zamknięci po domach, kurząc fajki, narządzając sieci. Nie było pogo wychodzić do przystani, każdy wczas pozbierał nety i żaki i pochował w chlewnikach. Do cichych izb docierał jednak zdala jęk syreny i budził w sercach trwogę. Może tam jakiś sztimer błąka się i nie może trafić do portu, może gdzieś żagle nawisły mokrością i ciężko leżą na maszcie a człowiek,

skulony przy kole sterowym czeka, czy nie rozlegnie się nagle zgrzyt okrutny rozłupującego kruchy boet okrętu. Żle zostać w taki czas na morzu, źle w pobliżu przystani, śmierć zatulona w mgłę wyciąga mokre łapy po życie ludzkie. Rybacy nie mówili nic do siebie, bo i co tu gadać? Każdy wspominał sam w sobie podobne, z dni własnych, wypadki.

Do checzy Józefa Konkola ktoś lekko zapukał. Chłop obejrzał się zdziwiony, a potem, sądząc, że to któryś z sąsiadów, mruknął przyjazne pozdrowienie.

— Pochwalony Jezus Krist!

— Na wiek wieków. A? Budziszka?

— Mojego nie ma u was?

— Nie ma!

Młoda kobieta przystanąła w progu. Widać było trwogę na jej twarzy. Józef Konkol spojrzał, zrozumiał. Widać Martin Budzisz nie wrócił do checzy, czyżby wybrał się podglądać takie w taką mgłę? Niepodobna. Ale kobieta stała skulona pod ścianą i fartuchem ocierała oczy. Wyszeptwała:

— Martin miał idzone jeszcze w polnie, jak słońce było na niebie. Na obiad nie wrócił.

Józef Konkol wskazał kobiecie ławę pod ciemnym piecem, a sam podszedł do okna i chciał wzrokiem przebić szarość za szybami. Nic jednak nie dojrzał, prócz kilku gałązek bzu, który rósł w ogródku. Wrócił więc na środek izby i w zamyśleniu pocierał ręką tył głowy. Każdy jego ruch śledziły trwożne oczy kobiecie z jakąś niemą, błagalną prośbą. Józef Konkol strzepnął niecierpliwie rękaw z jaki i pomyślał, że białki zawsze czymś straszą.

Potrzebnie to przychodziła do niego z tą nowiną? Kiedy Martin taki głupi, aby wychodzić w morze, w ten czas, to co jemu do tego?

Ale z pod pieca rozległo się teraz ciężkie westchnienie. Konkol zrozumiał jego treść. Znani byli we wsi, jako najlepsze dwa kamraty. Józef nie miał rodziny, przywiązał się do Martina, jak do brata.

— Miał idzone jeszcze w polnie, prawicie? Nie wrócił na obiad?

Kobieta skinęła głową.

I nagle Józef Konkol ruszył gwałtownie z miejsca. Skoczył do komory, wciągnął grube buksy, zdjął z półki, w kącie, suszące się skórnie, stękając wciągnął je na nogi. Potem podbiegł do sionki i zabrał stamtąd długą bekę. Na ten widok kobieta jęknęła i zachlipała.

— Głębstwo! — rzucił jej na pocieszenie. I dodał jeszcze:

— Ustrugajcie mi bulwów, czas wama minie skoro!

Kobieta zakrzętała się po domu, rybak wypadł przez próg, zatraskując drzwi z hałasem.

Ale gdy postąpił kilka kroków, zatrzymał się niepewnie. Trudno było, nawet drogę odnaleźć, do strądu. Czy nie lepiej zawrócić? Ale zaraz znów przypomniały mu się wspólnie z Martinem przepędzone dni i noce na dalekich połowach, wspólną wybierkę do wojska, wspólnie przebulane wieczory w karczmie. Może woła tam gdzieś ratunku? Może ginie w morzu kamrat serdeczny? Józef Konkol miarkując po chłodniejszym powiewie, kierował się,



W dniu imienin P. Prezydenta I. Mościckiego.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz składa życzenia imieninowe  
Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.



już nie wzrokiem, ale instynktem raczej, i tłukąc się niepewnie między opłotkami dotarł wreszcie nad morze. Mgła rzedła tu nieco od dołu, można było rozróżnić piasek przybrzeżny i wąski pas wody. Dalej wszystko znów ginęło w szarym omroku mgły.

Józef Konkol raz jeszcze wzruszył ramionami nad głupotą własnego przedsięwzięcia. Teraz iść w morze z boetem?

Ale głos uporczywy syreny portowej zdawał się nawoływać go kędyś, może na śmierć własną, a może na ratunek towarzysza.

Wyciągnął łódź na brzeg i wiosła wparł w wodę. Nie widział jej nawet, czuł tylko pod oporem drewna. Ale zaledwie ujechał kilka metrów, przejęło go nagle zaleknienie. Obrócił się za siebie. Zaledwie dojrzeć mógł czarny sadz, porzucony na strądzie. Za chwilę i tego nie zobaczy. Zagubi się sam w mgłę i nigdy nie trafi z powrotem. Nadciągnie noc, a potem może i dzień wstanie, taki sam bezbarwny i niewiadomy, zamknięty kłębowiskiem nieprzeniknionym. Poruszył jeszcze niechętnie wiosłami i nagle zdecydował się zawrócić. Nie! To było szaleństwo, nie chciał życia tracić na darmo.

Ale, w chwili, gdy rzucił się już całym ciałem w tył i chciał przybić z powrotem do brzegu, znagła zamrał bez ruchu. Zdawało mu się, że gdzieś, z niezmiennej dali doleciał go krzyk człowieka. Nasłuchiwał. Cisza. Ale potem znów jakiś nikły, ledwie dosłyszalny dźwięk. Starał się oczami przebić ciemniejącą gęstwę mgły, nocą nasiąkającej, ale nic nie dojrzał. Czuł tylko, jak serce podchodziło mu aż do gardła. Kamrat ginie!

Teraz Józef Konkol nie namyślał się już dłużej. Przeżegnał się szerokim ruchem ręki i, starając się boet utrzymać w prostym kierunku, parł naprzód wiosłując co sił. Na chwilę przystanął. Nasłuchiwał. Teraz doleciał go znów krzyk, nieco wyraźniejszy. To napewno człowiek, ginący w morzu, wzywa ratunku. Józef Konkol odkrzyknął, jak mógł najgłośniejszemu, ale zdawało mu się, że własnego nie słyszy głosu. Mgła wciskała mu się do gardła, jakgdyby je kto pierzyną dusił. Znów wstrzymał podniesione w górę wiosła. Ale nikt na wołanie nie odpowiedział. Czyż tamten krzyk był ostatni? Józefowi zjawiała się teraz w wspomnieniu twarz przyjaciela. Duże, piwne oczy, roziskrzone wewnętrznym blaskiem i usta w uśmiechu.

— Martink!

Jęknął teraz, zgiął się wpół i wiosłował jeszcze. Aby tylko nie było zapóźno, aby nie było zapóźno. Aż oto znagła zdało mu się, że znów coś słyszy.

— Jo, jo! — mruknął do siebie.

Głos dobiegał z prawej strony. Skierował boet na prawo obrotem wiosła. Ale, zaledwie ujechał trochę, znów dobiegł go głos oddalony. Nie, to nie było z prawej strony, a z lewej. Obrócił więc łódź na lewo. I znów natężając głos krzyknął:

— Martink!

Nie dojrzał jednak niczego. I znów strach zaczął go ścisnąć za gardło podstępny naporem. Dwa razy zmienił kierunek boeta, czy trafi z powrotem do strądu? Przystanął na chwilę, starał się wzrokiem przebić mgłę. Ale zgęściła się wokół niego i pociemniała. Ledwie mógł rozpoznać kształt własnych rąk. Postanowił po raz drugi za-

wrócić. Ostatecznie zrobił wszystko, co mógł, dla towarzysza.

Teraz już strach przemożny zjeżył mu włosy na głowie. Zapadła noc, a on nie wiedział, gdzie się znajduje. Może płynie na pełne morze, może oddala się na zawsze od kraju? Przegiął się jeszcze mocniej, wiosłował jeszcze zacieklej. Przecież tam, za nim, gdzieś musi znajdować się ziemia, tylko dlaczego fala staje się wciąż jakaś twardsza, czemu pod łodzią odczuwa niezmierzoną głębinę? Józef Konkol oszalały ze strachu wydobywał ze siebie ostatek sił. I nic już teraz nie widział, nic, nawet rąk własnych.

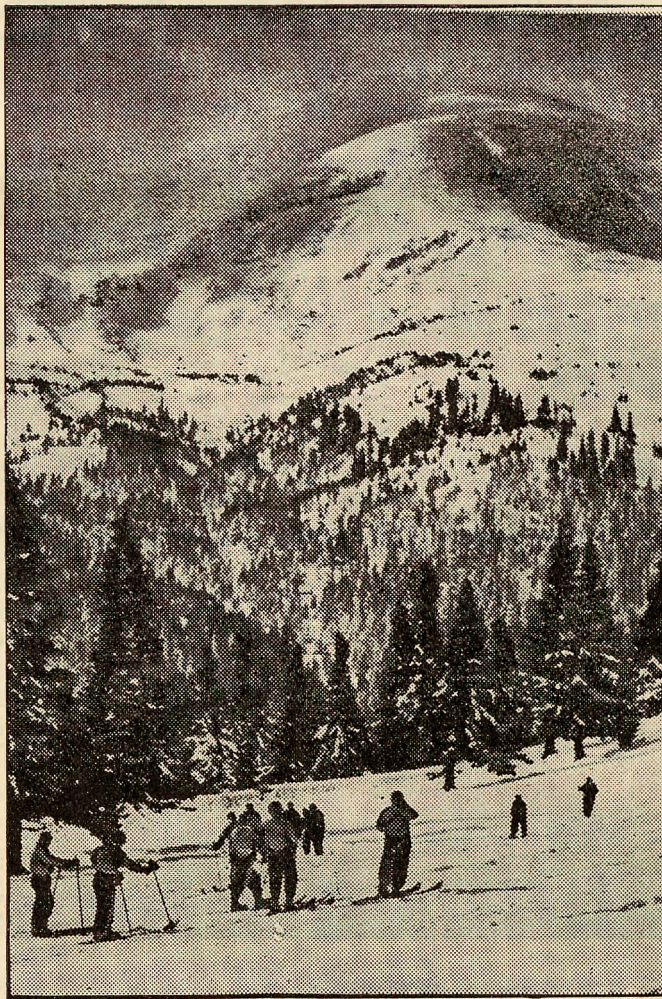
Aż znagła dziób łodzi otarł się o coś twardego. Józef Konkol drgnął, zatrzymał się, czyżby to był stary sadz na piasku? I nagle w ciemności usłyszał szept:

— Jezu! Ledzie! Ratujcie!

— Martink?

To był głos człowieka, od lewej burty.

Odpowiedział mu jęk w ciemności. A potem coś obciążyło mu remę wyciągniętą. Oby nie pękła! Wciągnął prawe wiosło i wychylił się za lewą burłę. Pod nerwowym chwytem palców poczuł czyjeś lepkie mokre włosy. Potem przechylił się już cały na lewo i obydwoma rękami, nie widząc nic, a czując tylko, jał wciągać czyjeś ciężkie, obwisłe ciało do łodzi. I już nie myślał o tem, że oto obaj



Słynna z piękności i doskonałych terenów narciarskich —  
Worochta w Karpatach.



mogą przychylić się zanadto i boet pograć w oddechach. Nie myślał, że noc jest ciemna, a stoąd daleko. Nie myślał, że śmierć w tej chwili czyha na nich zdradziecko. Ratował ulubionego kamrata, i oto obaj opadli ciężko na planki.

— Żyjesz Martink?

Czyjeś palce bezwolnie otoczyły jego dłoń. Łódź kołysała się zdradziecko, nabrana wodą.

Z chwilą jednak, gdy Józef Konkół odnalazł kamrata, nowe siły i nowa ochota wstąpiła mu do duszy. Teraz muszą uratować się obaj, muszą!

I oto usłyszał wyraźnie głos syreny portowej. Wyteżył słuch, odnalazł właściwy kierunek. Tak, trzeba było skierować się jeszcze bardziej na lewo.

Po nieskończonym, mozolnym wiosłowaniu w zupełnej ciemności, boetem, obciążonym, pluskającą na dnie, wodą, Józef Konkół spostrzegł nagle, że gęsta ściana mgły rzadnie gdzieś w dali. Jęło się przez nią przebijać nikłe światło. A dźwięk syreny był coraz bliższy. Teraz dosłyszał także dzwon wioskowy, który grał miarowo, bezustannie. Teraz dojrzał już bliżej blask latarni zawieszonyj w przy-

stani, na poelu. I potem krzyk kobiety:

— Martink, Martink, Martink!

Napół przytomny, mdlejącymi z umęczenia ramionami przybił do brzegu. Ale nie wiedział już, co się z nim dzieje.

I jeszcze później, po jakimś nieskończeniu długim czasie zbudził się ze snu. Leżał we własnej checzy, poznał ją, po nadwęglonych belkach pułapu. Tuż nad sobą ujrzał dwoje piwnych oczu, rozjaśnionych wewnętrznym blaskiem i uśmiech znajomy.

— Na, Józku, żyjesz?

— Jo, jo.

Odpowiedział sennie.

Potem zrozumiał jeszcze, że Martin Budzisz i białka jego, niosą go ostrożnie do komory, dół łóżka. Ściągnęli mu z nóg mokre skórznie, włąli w usta gorzałkę.

— Kamrat! — mruknął niewyraźnie.

I tylko wzdygnął się z lękiem, gdy dobiegł go przez ścianę jęk syreny portowej. Potem zasnął.

### Ukruty językowe.

W 7 nr. »Ogniwa« z r. ub. w artykule p. t. »Coś o języku i jego czystości« była mowa o ujemnym wpływie języków urzędowych (dawniej niemieckiego, dziś czeskiego) na czystość dialektu. Do przykładów, podanych w tym artykule, pragnę dziś dołączyć kilka innych, zakorzenionych nie tylko w dialekcie, ale nawet w języku literackim naszych okolic.

Bardzo często słyszy się i czyta, że »ktos łączy się ze światem«, że »przed odjazdem rozłączył się ze swymi kolegami« itp. W tym znaczeniu czasownika łączyć się, rozłączać się używa się w języku czeskim; w języku polskim natomiast używa się czasowników **zegnać**, **pożegnać się**.

Innym takim wyrazem w języku polskim wogóle nieużywanym, to wyraz **režia**. Wyraz ten — pochodzenia francuskiego — jest w języku czeskim używany w znaczeniu **zarząd**, **monopol** (Československá tabáková režia), **koszta urządzenia**, **koszta administracji** itp. Zamiast więc mówić »...mimo znacznej reži...« należy poprawnie powiedzieć »...pomimo znacznych kosztów (wydatków); zamiast »odstąpił to za reżyjną cenę« »...cenę kosztów własnych«. Z wyrazem »režia« przedstawia się sprawa podobnie, jak z wyrazem **agilność**, **agilny**, który omawiałem w 12 nr. z r. ub.

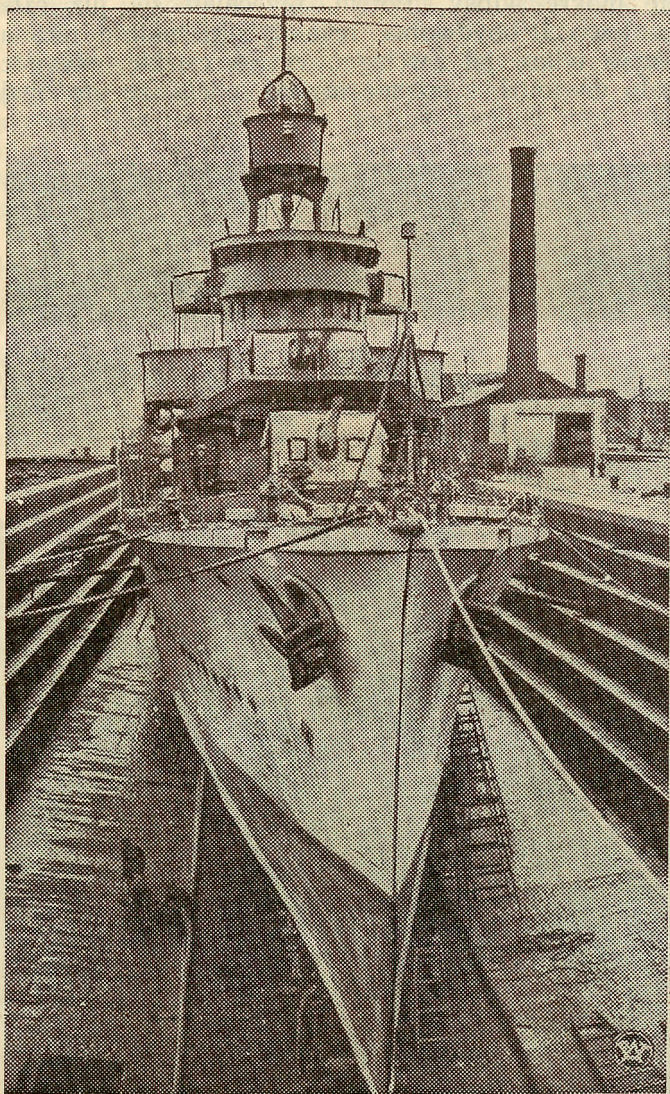
Pod wpływem języka czeskiego używa się niewłaściwie przymiotnika »płatny« w takich zestawieniach, jak **płatne przepisy**, **płatna ustawa** itp. W tym wypadku należy używać przymiotnika **obowiązujący**: **obowiązujące przepisy**, **obowiązująca ustawa**. Przymiotnika **płatny** (utworzonego od czasownika **płacić**) używamy w języku polskim w zupełnie innych znaczeniach. Oto najczęściej spotykane znaczenia: **weksel płatny** za miesiąc (t. zn. mający być zapłacony); **płatny dłużnik** (należycie płacący); **płatny urzędnik**, **płatny sługa**, **płatne wojsko** (taki, któremu płacą); **płatny bilet**, **płatne wejście**, **płatna usługa** (za które trzeba płacić); **dobre płatne zajęcie**, **posada** (popłacające).

Teraz dwie uwagi z dziedziny składni. Często używa się w niewłaściwych zestawieniach liczebnika **jeden**. Najlepiej uzmysłowi nam to następujący przykład:

»...pan X z zadowoleniem stwierdził, iż koło należy do **jednego z pierwszych kół** na Śląsku.« W tym zestawieniu liczebnika **jeden** używać nie można, ponieważ sprzeciwia się to logice: można należeć do **jednego** towarzystwa, jeśli mowa o jakimś człowieku. Podane zdanie poprawnie wygląda następująco: 1. »...koło należy do pierwszych kół na Śląsku«, albo 2. »...koło jest **jednym z pierwszych**...« W takim zestawieniu można liczebnika **jeden** używać i używa się: »jest **jednym z**...«, nigdy jednak »należy do **jednego z**...«, ani nawet »należy do **jednych z**...«.

Rzeczownik **państwo** (w znaczeniu pan i pani) wymaga po sobie czasownika w liczbie mnogiej: **państwo Wolni przyjechali** (nie przyjechało); **państwo będą łaskawi** (nie ...będzie łaskawe) itp. Co innego rzeczownik **państwo**, oznaczający kraj: **państwo polskie** zajmowało o wiele większy obszar; **państwo francuskie** przeżywało burzliwe koleje itp.

Afka.



Nowy polski statek wojenny.

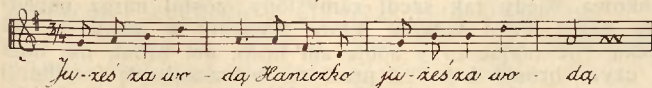
Nowa jednostka polskiej marynarki wojennej, kontrtorpedowiec »Grom« spuszczonej ostatnio na wodę w dokach stoczni w Southampton.



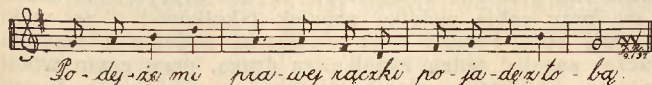
# Dział regionalny

## Jużeś za wodą...

(Pieśń weselna, G. Żuków 1866 r.)



Ju-żeś za wo - dą Ka-nio-ko ju-żeś za wo - dą



Po-dej-że mi pra-wej rączki po-ja-de-żo - bę.

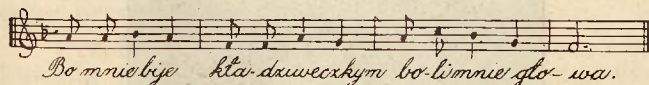
(Brak kilka zwrotek.)

## Mamulko moja...

(Godziszów)



Mamulko mo - ja nie chęć ko-wo - la



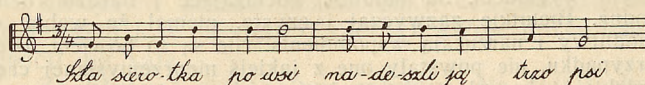
Bo mnie bje kła-daweczym bo-li-mnie gło-wa.

(Brak nast. zwrotek.)

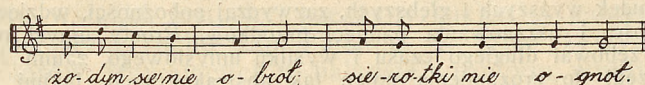
Śpiewał: Jan Sikora, emeryt. kierownik szk., Śmiłowice.  
Zanotował: tekst i melodię Em. Guziur.

## Szła sierotka...

(Godziszów 1861 r.)



Szła siero-tha po wsi ma-de-szli ją trzo psi



zo-dyn sie nie o-broł; sie-ro-tki mie o-gnoł.

1. Szła sierotka po wsi,  
Nadeszli ją trzo psi.  
Zodyn się nie obroł,  
Sierotki nie ognoł.

Ona swoim cerom  
Chleba z masłem daje  
A mnie sieroteczcze  
Skóreczki okraje.

2. Ej obroł się, obroł  
Sóm Pónbóczek z nieba,  
Ognoł sieroteczke,  
Doł ii kasek chleba.

Ona swoim cerom  
Koszuleczki szyje  
A mnie sieroteczcze  
Strzepeczki zwiezuje.

3. Idź ty sieroteczko  
Pod zielony jawór,  
Ulóm gałazeczke  
I posmycz ją nadół.

(Brak nast. zwrotek.)

Posadzili ją tam  
Na zieleźnym stołku,  
Dali ji pić smołę  
W rozpolonym gorku.

(Brak kilka zwrotek.)

Śpiewał: Jan Sikora, emeryt. kierownik szk., Śmiłowice.  
Zanotował: tekst i melodię Em. Guziur.

## Głodne roki.

Gmina Bukowiec jest wioską górzystą. Gleba jest kamienista, nic więc dziwnego, że wydaje małe plony i, że zwłaszcza, jeśli była źle obrobiona, to często nawet nie wróciła tego, co do niej włożono. Często więc dawniej były nieurodzaje a po nich następował głód, albo jak starzy powiadają »głodne roki«. O najdawniejszych »głodnych rokach« słyszałem również od Pyszki Adama, a ten od swojego ojca i jakiegoś Bachleta ze Susza, który żył 102 lata. I tak je opisuje: »Było to między rokiem 1835—1842. Wskutek nieurodzaju, jaki tu zapanował, mój tata z Bachletem pojechali na Węgry do Topolczanek na zboże. Po kilku dniach przyjechali z powrotem, z płaczem rzucili ryńszczoki na stół ze słowami »nic nigdzie nie ma« — bo wszędzie był nieurodzaj. Wtedy siklawy (pokrzywy) parzyli i jedli.« Na zapytanie co było powodem tych głodnych roków, odpowiada — ludzie źle obrabiali pole, bo pługi jeszcze do r. 1880 były drewniane a nie umieli jeszcze tak robić jak dzisiaj. Takich głodnych roków musiało być więcej — i jak widać z aktów rząd krajowy starał się tej pladze zapobiedz. I tak w r. 1880 gmina Bukowiec otrzymała pożyczkę 1000 złr. dla ubogich rolników na zakupno zboża nasienne. Pożyczka ta była spłatna w 5 równych ratach po 2 latach.

Z biegiem czasu i udoskonaleniem uprawy, nieurodzaje zaczynają zniknąć, tym bardziej, że dzisiejsze środki komunikacyjne łatwo je mogą zlikwidować.

Dawniej, o ile sobie ludzie przypominają, nie było w Bukowcu sklepów. Przeważnie kupowano wszystko w Jabłonkowie. Możliwym, że można też coś było dostać w karczmie gminnej, lecz nie było tego wiele. Najwyżej sól i tytoń. Sól wożono z Wieliczki wozami, bo to było taniej niż koleją. Z miejscowych byli to Sikora Jan l. 4, Pyszko z »murów« i niejaki Skurzok. Jazda trwała 7 dni

(2 noce i 3 dni w jedną stronę). Wozy były przeważnie całe drewniane. Często utracili konie, które im przy popasach ukradziono. W Bukowcu solą handlował i sprzedawał ją niejaki Chabrek od Chybidziury l. 78. Za sól płacono w Wieliczce 5 złr. a od furmanki też 5 złr. Sól sprzedawał na funty kamienne (coś więcej jak pół kg). On też handlował tytoniem, który mu przynoszono z Węgier.

\*\*\*

H. D.

## Sobory dawniej.

Dawniej służyło się przy wojsku 12 lat. Pyszko Adam, najstarszy obywatel Bukowca (urodz. 1853) tak opowiada o poborach: Za moich czasów były już asynty, ale przed tym rekrutów chwymano. I tak kiedy wójt dostał rozkaz, iż Bukowiec ma dać tyle i tyle rekrutów, zmówił się z większymi gazdami i oznaczyli, kogo by do służby wojskowej przeznaczyć. Zazwyczaj wybierali z pośród ubogich. Następnie dali znać do komendy wojskowej: W nocy przychodzili żandarmi, wyznaczonych zabierali i odprowadzali. Lecz jeśli kto z przeznaczonych przeczuwał lub został o chwyтaniu uwiadomiony, uciekał, zazwyczaj na Węgry. Wtedy, aby liczba była pełna, żandarmi brali i gazdowskiego syna. Z tych czasów pochodzi pieśń:

Już wszystkie sierotki na wojnę pobrali,  
Już wszystkie sierotki na wojnę pobrali,  
Musieli gazdowie swe syny dać.

Służbę finansów na granicy węgierskiej (boć Bukowiec graniczył z Węgrami) spełniali tak zw. »grencjegrzy«, którzy byli zakwaterowani u miejsc. gazdy Loreńczyka. Często w nocy, za stodołą lub chlewem »buczeli« na rogu. Mieszkańcy myśląc, iż bydło w chlewie się urwało i bodzie się, brali prędko łuczywo i biegli do stajni. Na to właśnie czekali »grencjegrzy«, którzy karali ich za chodzenie z otwartym światłem.

H. D.



## Śląskie kaplice przydrożne.

Wędrując po naszym Śląsku, spotykamy często obok drogi lub też w polach kaplice, które zwracają uwagę swym tajemniczym pochodzeniem, a przede wszystkim malowniczym wyglądem. Są milutkie, pociągające i bardzo różnorodne. Bielutkie zazwyczaj i czyste, niemal że wabia do modlitwy i narzucają wspomnienia. Nie są to bowiem dzieła przypadku, nie powstały one z jakiejś nieprzemyślanej chęci ludzkiej i bezcelowych zamiarów, ale są to wytwory pobudek wyższych i głębszych, zazwyczaj pobożności, wdzięczności i uszanowania pamięci przodków. Prosty umysł potrzebował długiego czasu i wysiłku umysłowego, zanim doszedł do zrozumienia pojęć tak abstrakcyjnych, jakimi są wdzięczność, pobożność i ofiara. Zrozumiał, iż najlepiej wyrazi swe uczucia i myśli, o ile za otrzymane łaski i pomoc lub w celu wyproszenia spełnienia jakiegoś życzenia poniesie ofiarę z tego, co było jego udziałem na tej ziemi, a więc z trudu, głodu, z ciężkich znojów w celu przemienienia ich na konkretną rzecz lub pieniądź i stworzenia dzieła, które by przez długi czas przypominało ten wysiłek.

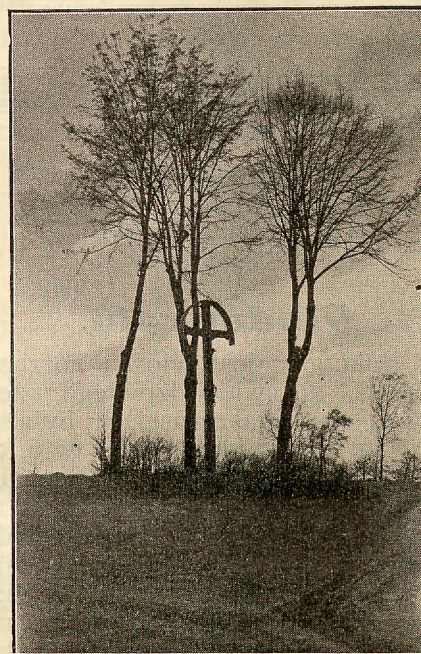
Najwięcej istnieje kaplic, wybudowanych z wdzięczności za udzielone dobrodziejstwa i dostatki ziemskie. Drugą grupę stanowią kaplice, które budowali ludzie nieszcześliwi, chorzy, pragnący w ten sposób wyprosić sobie łaski u Boga. Inna grupa kaplic, to kaplice wojenne, które stoją na miejscach, gdzie masowo grzebano poległych żołnierzy lub w miejscach, gdzie rozegrały się krwawe bitwy. Ponadto spotykamy w zagłębiu kilka kaplic górniczych, wybudowanych na pamiątkę katastrof na szybach (Karwina). Jeszcze inna grupa kaplic to kaplice cudowne, które stoją nad cudownymi źródłami lub też w miejscach, gdzie stał się jakiś cud. Do takich kaplic można zaliczyć kaplicę nad cudownym źródłem w Niem. Lutyni, w Bukowcu i t. p. Bardzo ładne są legendy i podania związane z powstaniem takich kaplic.

Dla ilustracji przytoczymy podanie o powstaniu kaplicy w Jabłonkowie na wzgórku Witaliszowie, które jeszcze dzisiaj sobie w Jabłonkowie opowiadają, a którego treść jest następująca: Jest temu już dosyć dawno, kiedy w pewną sobotę w starej i bogatej rodzinie Paduchów w Jabłonkowie odbywało się w całym domu generalne »bielenie«. Wyniesiono w tym celu z pokoi meble i obrazy, aby ich nie poplamiono wapnem. Najstarszy i najładniejszy obraz św. Antoniego schowano do trójkł. Jakież było jednak zdziwienie, kiedy wieczorem chciano obraz z powrotem zawiesić na ścianie, a obrazu w trójkł nie było. Szukano cały wieczór, ale nadaremnie, obraz zniknął bez śladu. Pogodzono się z myślą, że ktoś obraz ukradł. Jakież było jednak na drugi dzień zdziwienie, kiedy od Witaliszowa z kopca przyszła kobieta i opowiadała, że na dębnie, na Witaliszowie wisi jakiś święty obraz. Z ciekawości poszli na Witaliszów i znaleźli tam zaginiony obraz. Przynieśli go do domu i zawiesili na dawnym miejscu. Na drugi dzień obraz zniknął i dopiero koło południa znaleźli go znowu na dębnie na Witaliszowie. I tak się to powtarzało przez kilka dni. Widząc w tym cud i wolę Boga, wybudowano obok dębu kaplicę i w niej umieszczono cudowny obraz, który do dziś dnia się tam znajduje. Obraz ten jest dziełem sztuki ludowej i można go zaliczyć do najoryginalniejszych prymitywów tego działu sztuki na Śląsku. Nad nim w kaplicy wiszą złote pierścionki, które na pewno złożyły tam jakieś nieszcześliwe dziewczyny, którym św. Antoni wyprosił u Boga mężów.

Niektóre kaplice powstały w miejscach, gdzie doszło do jakiegoś nieszczęścia, np. śmierci, samobójstwa i t. p. Stoją one czasem i w środku pola lub łąki albo też w lasach.

Ciekawe jest np. pochodzenie kaplicy w Piosecznej koło Jabłonkowa, stojącej w szczerym polu. Należy ona do p. Z. Lubojackiej, tamtejszej obywatelki, która w następujący

sposób opowiada o jej powstaniu: Pewnego razu w zimie, kiedy pola grubo były pokryte śniegiem, wracał jej teść Jerzy Lubojacki w gwiaździstą i mroźną noc do domu z Jabłonkowa. Kiedy tak szedł zamyślony, został naraz napadnięty przez kilka wilków, które wypadły z lasów z pod Stożka. Nie mając przy sobie ani łaski, ani broni, nie miał się czym bronić i już z przestachu zaczął się modlić i polecać swą grzeszną duszę Bogu. W tem przypomniał sobie, że ma przy sobie pudełko zapalek (»kołków«) i że wilki się ognia boją. Prędko więc wyciągnął pudełko z kieszeni i zaczął zapalać jedną zapalną za drugą, przy czym wołał o pomoc. Usłyszeli wołanie mieszkańcy pobliskiego dworu i przybyli mu z pomocą, ratując go od pewnej śmierci. Po powrocie do domu, z wdzięczności, że Bóg uratował mu życie, postawił w tym miejscu »słupkę« a na nim święty obraz. Jego synowa wybudowała w tym miejscu w kilka lat później kaplicę.



Krzyż przydrożny w Stonawie.

Osobny dział tworzą kaplice cmentarne, które często służą i za trupiarnie. Charakteryzuje je zazwyczaj wieżyczka, w której znajduje się mniejszy dzwon, zwany »umyroczykiem«, ponieważ się nim dzwoni kiedy ktoś umrze i podczas pogrzebów. Kaplice są zwykle poświęcone jakiemuś świętemu i tak mamy kaplice Najśw. Panny Maryji, św. Antoniego, św. Jana, św. Piotra i Pawła i innych. Każda kaplica ma swego właściciela. Jest jednak dużo kaplic na Śląsku, które nie należą do nikogo. Za przykład może posłużyć stara kaplica w Jabłonkowie (Biała) obok domu l. 33, która nie należy do nikogo, a na jej utrzymanie i odnowienie składają wszyscy sąsiedzi i ludzie dobrej woli corocznie datki. Zasługuje ona na specjalną uwagę, ponieważ w niej znajduje się bardzo oryginalna, stara drewniana rzeźba ludowa, przedstawiająca Jezusa pod krzyżem. (C. d. n.)

## Soranek duszy.

Sobota. Trzecia po południu. Czerwone jak by niewyspane i zmęczone słońce, pobaraszkowawszy sobie dowolnie odcieniami tęczy po zamarzniętym śniegu, zakradało się przez obszerne okno do pierwszorzędnego urządzonego biura i przekomarzało się łobuzerskimi uśmiechami na świeżej politurze nowych mebli urzędnika biurowego.

Karol, siedzący zgarbiony przy biurku, odsunął od siebie grubą pęk zadrukowanych list, które właśnie przeglądał, ziewnął przeciągle, przetarł kufakiem oczy, a następnie z niezmierną przyjemnością przeciągnął się, aż kości w stawach sucho zatrzeszczały. Wreszcie wstał, podszedł do okna i długo zapatrzył się na zimowy krajobraz. Z jego



męsko wykrojonych ust, wysunęły się niepozornym szeptem banalne napozór słowa: — A to wspomniały dziś śnieg. — Aż oczy mu się rozpromieniły na tę myśl.

Szerokim i zamaszystym ruchem wyciągnął z kamizelki zegarek i spojrzał nań uważnie.

— Trzecia, można kończyć... — powiedział, jakby wydawał zlecenie samemu sobie.

Pośpiesznie sprzątnął wyniki swej kilkunastogodzinnej pracy, poczynił jeszcze krótkie, niezbędne notatki, wreszcie ubrał się i wyszedł.

Ożywiona, jak zawsze sobotnia popołudniowa ulica ostrawska pochwyciła go w swoje rozdrżane, rozkrzyczane i rozkołysane objęcie.

Szedł stosunkowo dosyć szybko, wymijając zreźnie i umiejętnie melancholijnych i zanadto rozmarzonych przechodniów, w stronę swego mieszkania.

Tam na pierwszym miejscu nasuwały się przed oczy przygotowane narty.

Przebranie się do kostiumu narciarskiego było kwestią kilku minut. Jeszcze rękawice, pierwszorzędne smary do podchodzenia i do zjazdów do chlebaka, narty na ramię — i znów znalazł się w mrowisku ulicznym, popychany zewsząd niemilościernie.

Następnie dworzec, kilka szturchańców przez niezbyt delikatnych obywateli — i niecierpliwe oczekiwanie na pociąg z powrotnym biletem do Bystrzycy w kieszeni.

Świsł lokomotywy, krzyk, hałas, tłok, nawoływania, pożegnania, kilka głośnych pocałunków jakby chluśnięcie wodą — i Karol został poprostu przez tłum wsadzony do wagonu trzeciej klasy.

Ulokował się tuż przy oknie. Odetchnął. Patrzył na białą przestrzeń, rozmodloną zachodzącym słońcem. Telefoniczne druty, biegnące wzdłuż toru jak wiatronodzy olimpijczycy, cięły biel w równe pasy, jak radło skiby na ugorze.

Słońce zaszło...

Pociąg odsapnął sobie nieco, jakby nabierał nowego tchu, chcąc zwycięsko pokonać kopce i zatrzymał się nieco przed małą, schludną stacyjką.

Napoleu rozlega się krzyk konduktorów, oznajmających, iż pasażerowie, jadący do Bystrzycy, powinni wysiąść...

Karol, z kilkoma jak on turystami, znalazł się na peronie. Opodał trąbka autobusu wzywała do pośpiechu amatorów wygodnej podróży do Nydku. Karol długo nie namyślał się, tym bardziej, że ołowiane niebo, nieco jakby zagniewane, rozwarło swe pulchne, jędrne ramiona i spuściło na ziemię nieskończoną i nieuchwytną białosć śnieżyca.

Nydek zdawał się być kresem podróży na dzisiaj, tymbardziej, iż śnieżyca spotęgowała się do tego stopnia, iż nie sposób było rozpoznać drogi o kilka kroków naprzód.

Karol wahał się. —

— Co robić...?

Z okien gospody Bajtka chlustało pełnymi garściami światło złociste snopy blasku, ściskające się na śnieżnej drodze. Prawie bezwiednie wstąpił do wnętrza. Odrazu zmiarkował, że trafił na jakąś zabawę.

Uśmiechnął się w duszy. — A czyż to nie moge się trochę pobawić...?

Jakieś słońce zadowolenia z samego siebie rozlało mu się w ciele, jak miłe ciepło piecyka w nieopalonem pokoju.

Złożył w jakimś przedsionku czy alkierzyku, (to zresztą jest całkiem obojętne), swoje narty i powrócił na salę.

Zachłysnął się szaleństwem zabawy. Na sali furkotały wstążki, fartuchy, szerzyny sukien w jednym tanecznym ruchu zapamiętania. Z tych żywych kolorów, fruwających w balansie wirowym, wypływał jakiś tajemniczy fluid (czy jak to zresztą nazywają) rozanielenia duchowego (wydaje mi się to porównanie za najstosowniejsze), a raczej, źle się wyraziłem, ten wspomniany fluid wypływał nie z tych kolorów wstążek, kabotków, fartuchów itp., jak to przedtem nazywałem wszystko, choć i tu możliwość nie jest wykluczona, ale saczył się niby niebezpieczna trucizna serc młodzieńczych z oliwkowych, czarnych, niebieskich jak niebo pogodne, czy też szarych, siwych niby topiel Głuchowej, niedaleko swe wody toczącej, dziewiczych źrenic...

Dusza i serce Karola jako jedno niby stadło małżeńskie, złączone razem, zapomniały o szlochu codziennych wysiłków — przeciwnie — zachłysnęły się odrazu bezmiarem szczęścia i spokoju...

Ach, te oczy, głębokie, siwe, jak bezdeń, czyliż przedzęt uroku nań rzuciły...?

Cudny, jedyny strausowski walc zaniósł się rozkosznym śmiechem po sali. Karol, zrównoważony młodzieniec, teraz traci swą równowagę, podchodzi do swych głębnych, siwych oczu — i prosi ich właścicielkę uprzejmie do tańca...

Sala rozpromieniła się wyrazem szczęśliwych jego oczu i młodym obrazem partnerki.

Wszystko wokół niego wiruje, a on jest takim jednym pyłkiem, których dziesiątki kręci się wokół kilku silnych żarówek, zwisających bezmyślnie z sufitu.

Odrzucił od siebie te głupie, niezmiernie głupie myśli, które go nawiedzały, te niby porównania siebie i wszystkich tańczących do komarów, kręcących się koło światła... tak, zresztą on się prawdziwie kręci koło światła, ale światła własnego, koło swej Haniczki, tak się ona nazywa, z którą tańczy, przecież nie myli się, wyraźnie szepnęła mu do ucha zalotnie, kiedy się jej pytał...

Zaczął myśleć, tak sobie, nie wiedział dlaczego... Ta atmosfera zaczęła go rozstrajać duchowo... Zaczęły mu się przed oczy nasuwać różne wspomnienia... Przypomnił sobie tę mowę, którą słyszał zewsząd, — jakże pięknym graniem była teraz dla niego...

— Jak mogłem ją zapomnieć...? — zadawał sobie pytanie. — Kiedyś się nią posługiwał w domu, tak, wtedy to jeszcze żyła matka, a on chodził do szkoły ludowej. Jakże to dawno... Potem śmierć matki... Samodzielne życie — Ostrawa... Tak, jakże to dawno, a jakże blisko — wystarczy tylko sięgnąć ręką — zerwać ten dawny owoc szczęścia.

Godziny upływały... Wreszcie zabawa się skończyła... ale nie skończyła się poezja jego duszy, która stworzyła najwspanialszy poemat wspomnienia swojej mowy matczynej, odrodzonej w obliczu zarzewia rodzącej się potęgi miłości. przegus.





#### Polacy na szczytach Andów.

Polska wyprawa wysokogórska, która wyruszyła na podbój najwyższych szczytów Ameryki Południowej, znajduje się w pobliżu szczytu Cervo Macimento (około 6.400 m). Wyprawa założyła swą bazę główną w odległości około 300 km od Puesti. Celem wyprawy są szczyty górskie, wznoszące się na granicach basenu Trzech Wąwozów, obejmującego olbrzymi i bezludny, pozbawiony słodkiej wody obszar, będący wysokogórską wyżyną, wzniesioną ponad 4.000 m. Wyżynę tę przecinają niezbadane dotychczas łańcuchy górskie. Polska wyprawa jest pierwszą wogóle ekspedycją naukową w tych okolicach. Po przebyciu niezbędnego okresu aklimatyzacji, wyprawa ruszy ku szczytom. Zdjęcie nasze przedstawia obóz główny wyprawy w Tres Anebras na wysokości 4.390 m. W głębi widzimy szczyt Cervo Nacimiento, na lewo zaś szczyt, oznaczony przez wyprawę nazwą Newada II.



#### Narciarskie mistrzostwa Polski.

W Wiśle odbyły się mistrzostwa narciarskie Polski na 1937 r. Tytuł mistrza narciarskiego zdobył uczestnik wielu zawodów międzynarodowych — Bronisław Czech. Sensacyjny wynik dał maraton narciarski — bieg na 50 km, który odbył się w Głębcach. Niespodziewanie zwyciężył w dobrym stylu zawodnik śląski, Jan Czepczor. Nasze zdjęcia przedstawiają: 1. grupę czołowych narciarzy z mistrzem Bronkiem Czechem (nr. 120) na czele oraz 2. fragment biegu narciarskiego na 50 km — zwycięzca Czepczor.



22 lutego 1857 r. urodził się w Londynie twórca Skautingu sir Robert Baden-Powell.

Młodość spędził na awanturniczych dalekich wycieczkach morskich i podczas tych wypraw, w młodej duszy Roberta krystalizowała się myśl stworzenia organizacji chłopców, która by ćwiczyła się samodzielności, wyrabiała odwagę i karność hartując się w niebezpieczeństwach a przede wszystkim głęboką miłością pokochała Naród a ludzkość popychała do wspólnej zgody w imię Boga i bratniej miłości.

Baden-Powell, po ukończeniu szkół mając lat dziewiętnaście, wyjechał do Indii jako podporucznik. Tutaj podczas wypraw wojennych i polowań odznacza się niezwykłą energią i wprost żelazną wytrwałością.

W czasie wojny z Burami (lata 1899 i 1900) zostaje przeniesiony z Indii do Ziemi Przylądkowej (Afryka) jako pułkownik. Podczas oblężenia Mafekinga (czytaj Meifkingu) z braku żołnierzy użył do służby wywiadowczej i łączności tamtejszą młodzież i dzięki tej młodzieży zdołał przetrzymać oblężenie. Od tego czasu rozpoczyna się systematyczny rozwój Skautingu, jako systemu wychowania młodzieży przez różnego rodzaju gry, zabawy, podchody itp.

Z Afryki Baden-Powell powraca do Anglii jako generał, otoczony powszechną sławą. Doświadczenia wojenne zwróciły mu uwagę na wielkie wartości bojowe młodzieży. Postanowił więc stworzyć nowy system wychowania chłopców — Skauting. Pomny bohaterstwa młodzieży z pod Mafekinga, oddał się jej całkowicie: dla niej organizuje w roku 1907 pierwszy obóz doświadczalny, dla niej to publikuje w r. 1908 książkę pod tyt.: „Scouting for boys” — pierwszy podręcznik skautingu oraz zakłada pismo młodzieży „The Scout”, dla niej wreszcie w r. 1910 zwalnia się i występuje z szeregów armii angielskiej, ażeby całkowicie oddać się nowemu ruchowi. Od tego też czasu rozpoczyna się jego wielka praca, staje się wodzem duchownym nie tylko skautów angielskich, lecz także wszystkich skautów i harcerzy świata.

Nie ustaje w pracy podczas wielkiej wojny światowej, prowadząc swoich chłopców przez trudy, śmierć i znój do wolności, bo wiedział, że tylko naród wolny i każda jego cząstka czująca się swobodną, ma dla ludzkości walory twórcze, a zatem wolność warstw i jednostek wszystkich narodów musi być zdobyta jakąkolwiek drogą, byleby ta wiodła do słońca, do wolnej, wesołej a zarazem twórczej współpracy całej ludzkości.

Wojna skończyła się. W dniu 6 sierpnia 1920 r., na zlocie międzynarodowym, generał Baden-Powell zostaje obwołany »Skautem Naczelnym całego świata«. Od tego czasu do chwili obecnej zwiedza świat cały, jeździ po różnych Jamboree i konferencjach, przypatruje się swemu dziełu.

Oto co o nim pisze czołowa powieściopisarka śląska Zofia Kossak-Szczucka w książce pod tytułem »Szukajcie Przyjaciół«:

... Z tego dzieła (stworzenia organizacji skautowej) może być dumny i szczerzyć się nim, bo ma obecnie za sobą czteromilionową armię młodzieży rozsianą po całym świecie. Stworzył on najpiękniejsze dzieło, jakie otrzymała ludzkość XX wieku, ofiarował jej skarb radości, piękna i dobra. On

to dokonał wielkiej, choć cichej rewolucji, jednej z tych, które przeobrażają świat gruntownie i trwale, niż przewroty hałaśliwe i krwawe.

Wiek XX, co jeszcze połowy swojej nie dobiegł, zaznaczył się już trzema ruchami, prądami o sile napięcia nieznanego od średniowiecza: bolszewizm, hitleryzm (vel faszyzm) i skauting. Który z nich zwycięży?

— Moi zwyciężą — myśli stary Baden-Powell — bo są radosni i twórczy...!

\* \* \*

Dzień 22 lutego jest »Dniem Myśli Braterskiej« — obchodzony corocznie w sposób uroczysty przez druhy całego świata. Jednak ze względu na 80 rocznicę urodzin Naczelnego Skauta, jest rzeczą pożądaną, ażeby wszystkie drużyny jak harcerz tak harcerzy obchodziły ten dzień uroczystie przez urządzenie nadzwyczajnego zebrania i obok corocznych obrzędów związanych z świętem, włączyć w przepisany program gawędę poświęconą życiu Baden-Powella i prócz tego zastanowić się nad jedną z myśli przewodnich wyjętą z dzieła Naczelnego Skauta.

W dniu 22 lutego, z całego świata, popłyną życzenia dla ukochanego Naczelnego Skauta. I w naszym Harcerstwie nie powinno zabraknąć życzeń, i w dniu tak uroczystym zakończcie swą gawędę dołączeniem się do ogólnych życzeń, by Skaut Naczelnny żył nam jak najdłużej, a w starości swej doczekał się jak najlepszych wyników swej pracy — ażeby nie tylko czteromilionowa armia młodzieży stała u jego boku, lecz pod jego ramię weszli wszyscy ci, którzy chcą w zgodzie, miłości Boga i bliźniego wytworzyć w swym łonie świat nowy, świat wesołego współzycia, współpracy i dobrobytu.

Słowik Obozowy.

### **Złote myśli Naczelnego Skauta.**

... We wszystkich krajach zanadto rozplenił się egoizm, za wiele zawziętości partyjnych, klasowych i związkowych, mimo że w ramach jednego narodu wszyscy jesteśmy braćmi.

Pozwólmy zniknąć drobnym różnicom naszych poglądów, a przede wszystkim uczmy postępować w ten sposób młodsze pokolenia, ze względu na wielką sprawę — jedności narodowej.

Jeśli to osiągniemy, będziemy mogli również pozbyć się naszych nienawiści międzynarodowych i naszych aspiracji egoistycznych i kierując się wielkodusznością, wyciągnąć przyjazną dłoń do naszych sąsiadów w świecie.

Pozbądźmy się przeto zawiści, tkwiącej w naturze ludzkiej, a zastąpij ją miłością braterską, która jest rzeczą boską i sprowadza Pokój i Dobrą Wolę między nas, którzy jesteśmy synami jednego Ojca...

### **Czy wiecie, że:**

w dniu 31 stycznia b. r. podczas konferencji starszyny HPC zostało założone grono instruktorskie przy Głównej Komendzie Harcerzy w celu zrealizowania programu odbudowy pracy w HPC — a w kilka dni później utworzono grono instruktorów zuchowych w celu rozwinięcia pracy i nadania jej odpowiedniego kierunku w dziedzinie zuchowej naszego terenu.

W roku 1937 odbędzie się w terminie od 1—8 sierpnia V Jamboree w Holandii. Po zlocie odbędą się wycieczki po Holandii, do Francji i Anglii. Koszta związane z samym zlotem wynoszą ponad 1000 Kcz.



Ze Zjazdu gwiazdzistego na Kozubowej.

U mety.



Ze Zjazdu gwiazdzistego na Kozubowej.

Drożyna leśna.



# Dział kobiecy

## Rodzina najważniejszą komórką społeczeństwa.

Każdy z nas wie, jak ciężko jest żyć człowiekowi samotnemu, jak bardzo potrzebuje współpracy i współczucia, o ile radośniej przeżywa szczęście, gdy je z innymi dzieli, jak dłoń przyjazna i słowo pociechy pomogły znieść niejedną złą chwilę, przeżyć niejedną rozpaczliwą ból.

Tak, człowiek to istota społeczna, pełna życia żyje w gromadzie i dla niej.

Ale życie wśród innych — to sprawa nie łatwa, zabiegają się co chwila, zahaczają i sprawy materialne, i — o ileż od nich dotkliwsze — sprawy duszy i serca, Samolubstwo, egoizm, przeświadczenie, że właśnie moja, i tylko moja krzywda woła wielkim głosem, utrudniają ludziom i współżycie i współpracę.

I oto te silne odródkowe instynkty znajdują przeciwwagę w najpierwszej komórce społecznej, w najpierwszej grupie społecznej, która kształtuje każdego z nas od chwili, gdy na ten świat przychodzi.

Ta pierwsza, podstawowa komórka społeczna — to rodzina, pierwsze naturalne ogniwo społeczeństwa, mające na celu troskę o to wszystko, czego człowiek, najbezbronniejszy, najdłużej bezradne ze wszystkich stworzeń ziemi, w codziennym życiu potrzebować może. Rodzinę tworzy małżeństwo, dobrowolny związek mężczyzny i kobiety, który Chrystus podniósł do godności Sakramentu, tak wielkie jest jego znaczenie, tak wielkie ma zadania, a z tych zadań najważniejsze — wychowanie potomstwa.

Dziecko — jego rozwój fizyczny, umysłowy i moralny — jest najważniejszym celem istnienia tej grupy społecznej, którą nazywamy rodziną.

Byłoby jednak bardzo źle i rodzina nie spełniałaby swego zadania, gdyby zapomniała o tym, że ma nie tylko »wychodować« dziecko, aby wyrosło i rozwijało się, musi ona wychować człowieka społecznego, takiego, który w innych, szerszych, liczniejszych grupach społecznych będzie umiał współżyć i współpracować, dla którego wspólne cele będą ważne i święte, który dla wspólnego dobra potrafi tłumić własne niesforne ambicje, potrafi karnie iść w szeregi, a gdy zajdzie potrzeba, stanie na czele szeregu i to nie dla własnych korzyści. Nie łatwe to są sprawy i nikomu łatwo takie zwycięstwa nie przychodzą.

I oto ta sprawa ujarzmiania, opanowania swojego »ja« poruczona została rodzinie, grupie ludzkiej, w której normalnie każdy pierwsze stawia kroki i w której te właśnie sprawy rozwiązują się najprościej i najłatwiej, bo ją ponad wszystkie inne wiąże najgłębsza miłość, a miłość wedle słów św. Pawła »cierpliwa jest, złości nie wyrządza, nie szuka swego, wszystko znosi, wszystko przetrwa«.

Ta miłość, która winna otaczać każde dziecko w rodzinie, budzi w jego sercu serdeczny oddźwięk, uczy jak żyć z innymi, a przede wszystkim jak tych innych kochać, a w tej miłości zapominać o sobie. To jest ten ideał, który ludzkość od prawników przeczuwała, a którego najpełniejszym symbolem stał się Chrystus.

Słyszmy często zdanie, że »podstawą społeczeństwa, podstawą państwa jest rodzina«; to nie frazes, to prawda głęboka, która warto przemyśleć. W tej małej społeczności nabiera człowiek wszystkich rysów, jakie go będą w późniejszym życiu cechowały, im więcej przeto życie rodzinne ma wartości moralnych, tym więcej posiada doniosłości społecznej, a na pierwszy plan wysuwa się w tym oddziaływaniu wpływ matki.

Znany wiedeński psycholog Adler wyraźnie mówi, że matka kształtuje stosunek dziecka do człowieka.

Sowiety po kilkunastu latach walki z rodziną i propagandą wychowania dzieci w zakładach państwowych, zawrócili z drogi i dziś ta sama propaganda przekonywa sowieckich obywateli o walorach życia rodzinnego. Cóż się stało? Oto podrosło już młode pokolenie, wychowane w sowieckim społeczeństwie i wykazało takie w swym duchowym rozwoju braki, których już nic nie naprawi. To młode pokolenie wyrosło bez rodziny, bez bliskich sobie, serdecznie oddanych ludzi, bez pieczyoty i uśmiechu matki, nie czuło się nikomu droższe nad życie i szczęście własne. Cóż więc dziwnego, że cała tęcza ludzkiej miłości jest mu nieznana, niezrozumiała i niedostępna?

Dużo się dziś mówi o wychowaniu społecznym, o świądomym przygotowaniu do pracy w tych licznych grupach, do których życie wciąga człowieka. Wychowawcą zawsze jednak powinna być miłość rodziców i żywy przykład ich

życia, ten codzienny, bez frazesów i szumnych słów przykład jak żyć należy. Niejedna matka, która może ledwo czytać umie, ale ma w duszy miłość Boga i miłość bliźniego, najlepiej nauczy dziecko prawdziwej drogi życia.

Mówią dziś ludzie, że »załamała się rodzina«, lub co gorsza »rodzina — to przeżytek«. A gdzie, jak nie w rodzinie nauczy się dziecko jak być człowiekiem? Wiedzą o tym dobrze kierownicy zakładów wychowawczych, w których mimo wszelkich starań dzieci się wolniej i gorzej rozwijają, niż w ubogich nawet rodzinach.

A czy stoimy wobec objawu załamania się rodziny? Nie, to tylko rozpanoszenie się egoizmu, tej bestii ludzkiej, która zawsze na planie pierwszym stawia »ja« i »dla mnie«. To jeden moment wielkiej, odwiecznej walki zła i dobra, toczy się w każdej duszy ludzkiej i w każdej ludzkiej gromadzie.

Bo jedno jest jasne — nic na tym świecie darmo i bez ofiar nie przychodzi. Ta miłość, która stwarza rodzinę, ta miłość, która kształtuje dusze dziecięce, wymaga ofiar bolesnych i krwi serdecznej — i to przede wszystkim kobiety-matki. Ale właśnie ona, ta kobieta-matka zna swój obowiązek świadomie i dobrowolnie podjęty i stoi na straży rodziny, a poprzez rodzinę — na straży społeczności narodowej.

W. Kujawska.

\* \* \*

## Nasze sprawozdania.



Zespół amatorski Chóru »Przyjaźń« w St. Mieście, który w ub. roku obchodził 5-lecie swego istnienia, wystawił w grudniu ub. r. udatnie śląską sztukę ludową p. t. »Pani Wójtowa«.

Po Zabawie ludowej ZOMP-u. Co tu dużo gadać. Udała się w stu procentach. Punktualnie o godz. 2 już pierwsze pary tańczyły, o godz. 3 sala była pełna, no a później ciasno było, bo ciasno. Trudno, ściany nie dały się rozciągnąć. Zato ale nastrój był od samiułenkiego początku aż do końca ludowy, wesoły, bez spotykanego nieraz na zabawach humoru wisielczego — przy bufecie. Skąd się taki miły nastrój wziął? Bo nie było tradycyjnej sztywności balowej, bo to w 90 procentach młodzi się bawili, lub młodo się czujący, bo kapela »Siły« z Trzyńca grała pierwszorzędną, bo barwne śląskie stroje ludowe rozweselały oko i serce, bo śląskie tańce nie były tolerowanymi z łaski kopcuszkami, lecz gospodarzami, bo na przemian wybierali raz panowie, raz panie, bo to była w pełnym znaczeniu tego słowa zabawa ludowa. Tańce śląskie miały taką wziętość, że, choć często grane, kapela musiała je powtarzać nieraz trzy razy z rzędu. A tańczyli je z ochotą i ci, którzy zwykli tańczyć tylko tanga i fokstrotę. Przekonali się, że to nietrudno się nauczyć, i że w ich wirze tak jakoś swojsko, przyjemnie. Podziw budził mazur pokazowy, odtąńczony z werwą i wielkim wdziękiem przez młodzież ostrawską, ubraną w krakowskie stroje ludowe. Że bufet trochę za wcześnie był wysprzedany, to już winą Gospodyń Wiejskich i Końszczanek — nie było trzeba robić aż tak dobrych rzeczy. Może kto powie, że zamało zrobiono przekąsek? — Kto zaraz na początku widział te stoły zastawiane smakołykami i słyszał gdzieś coś o jakiejś podobno »jednostronności« zabawy, nie pozwalającej »drugiej stronie« na wzięcie udziału — ten z pewnością nie pomyślał, że po trzech godzinach stoły będą puste. Trudno, wszystkiego nie można przewidzieć. Że mimo pieskowych



ujadań tyle młodzieży się zeszło, by się wspólnie zabawić. jest objawem nad wyraz pocieszającym. Niby to tylko zabawa — a jednak, ile wniosków dałoby się z niej wyciągnąć! Należy się podziękowanie komitetowi, który zabawę tę urządził, oraz młodzieży, która tak tłumnie przybyła. Do widzenia na przyszły rok, w »ostatki«.

**Walne Zebranie Zw. Pol. Chórów okręgu trzynieckiego.** W poniedziałek, dnia 8 b. m. odbyło się w Trzyncu Walne Zebranie Zw. Pol. Chórów okręgu trzynieckiego. Wybrano nowy Zarząd, w skład którego wchodzi: Przewodniczący: Pustówka Rudolf, naucz., Trzynieć. Zast. przewod.: Gajdzica Paweł, naucz., Kojkowice. Sekretarz: Michałek Alojzy, urzęd., Trzynieć. Gospodarz: Dobesz Henryk, naucz., Dol. Liszna. Okręg. dyrygent: Chowaniec Franciszek, naucz., Trzynieć. — W przyszłości wszystkie chóry powinny wysłać przepisana ilość delegatów na Walne Zebranie, gdyż niekomplet świadczy o braku karności w danym chorze.

**Ligotka Kameralna.** W niedzielę 31 stycznia b. r. odbyło się Walne Zgromadzenie tut. ZEM. Z zadowoleniem przyjęli członkowie sprawozdanie poszczególnych funkcyjnarzyszy, a nowy Zarząd z ponownie wybranym prezesem kol. K. Jadwiszczokiem na czele, może śmiało kroczyć w przyszłość, zachęcony dobrymi wynikami pracy roku minionego.

## Konkurs

### na godło i odznakę Z. O. M. P.

(Na wniosek jednej organizacji — członka Z. O. M. P-u, uchwalił Zarząd Z. O. M. P-u rozisać konkurs na godło i odznakę.)

#### Warunki konkursu:

W godle należy użyć znaków symbolizujących jedność młodzieży skupionej w Z. O. M. P., przy zastosowaniu jak najprostszych środków, któreby umożliwiały łatwe i masowe zastosowanie (na sztandarach, w wydawnictwach, na afiszach i t. p.).

Praktycznym zastosowaniem godła ma być odznaka Z. O. M. P-u, która ma stanowić podstawę do wydania odznak poszcz. organizacji tworzących Z. O. M. P. (np. przez dodanie inicjałów P. K. S., S. M. K. i t. d.).

Projekt musi przewidywać formę prostą, wykonanie odznaki emaliowanej, oraz możliwość wykonania odznaki w jak najmniejszych rozmiarach.

Projekty należy wysłać najpóźniej do 15 marca 1937 na adres: Zrzesz. Org. Mł. Pol. w Czechosł., Cz. Cieszyn, „Polonia“ (red. „Ogniwa“).

Imię, nazwisko, oraz adres projektodawcy należy oddać w zamkniętej kopercie. Pracę konkursową, oraz kopertę oznaczyć obranym znakiem (pseudonimem). Prace opatrzone podpisami, nie będą rozpatrywane.

Nagrody: I — 100, II — 60, III — 30 Kł. Konkurs na godło i odznakę należy rozumieć łącznie jako jeden, jednak zastrzega się możliwość użycia projektu godła lub odznaki oddzielnie.

Zainteresowanym udzieli bliższych wyjaśnień sekretariat Z. O. M. P-u (Cz. Cieszyn, „Polonia“ red. „Ogniwa“).

## Odpowiedzi Redakcji.

**P. »Pa-Ha.«** — Sprawa przez Pana poruszona ma bezsprzecznie wielkie znaczenie i była już nieraz wentylowana przez nas. Ostatnio poczyniono już wstępne kroki. Natrafiamy jednak na wielkie trudności natury formalnej i finansowej, nie mniej jednak mamy ją ciągle na oku. Może w niedługim już czasie będziemy mogli spełnić życzenie szerokiego kół naszych czytelników. Narazie nie chcemy sprawy tej omawiać szerzej, aby nie budzić przedwczesnej nadziei, gdyby trudności okazały się nie do przewyciężenia. Najlepszym

oczywiście wyjściem byłoby, gdybyśmy mogli być samowystarczalni. Talentów mamy dosyć. Dziękujemy za obszerny list, który znowu potwierdził potrzebę zaprowadzenia takiego działu, na co już kilkakrotnie z różnych stron zwracano nam uwagę ustnie.

**P. »R. J.«** — Spóźnione. Umieścimy chyba dopiero w przyszłym roku.

**P. »K. W.«, Darków.** — Prenumerata wyrównana do 1 lutego 1937.

## Komunikaty.

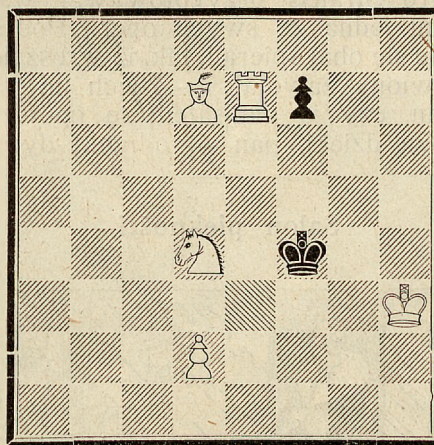
**Kalendarzyk przedstawień Teatru kukiełkowego »Bajka«** na luty. 18 lutego Karwina »Praca« o godz. 13 i 16. — 20 lutego Frysztat, »Dom katolicki« o godz. 15. — 22 lutego Karwina-Sowiniec, »Dom robotniczy« o godz. 15. — 24 lutego Dąbrowa, »Dom robotniczy« o godz. 15. — 27 lutego Orłowa, »Dom robotniczy« o godz. 15.

**Ze Związku Absolwentek Końszczanek.** Podajemy P. T. Koleżankom do wiadomości, że Walne Zebranie Związku Absolv. Końszczanek odbędzie się w dniu 7 marca 1937. Uprasza się uprzejmie o zarezerwowanie sobie tej niedzieli po południu do Końskiej na zjazd. Z okazji 15-letniego istnienia Związku, będzie wygłoszony stosowny referat. — Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze. Zarząd.

**Karwina.** (Przedstawienie amatorskie.) Teatr amatorski połączonych Kół Macierzy Szk. w Karwinie odegra w dniu 28 lutego b. r. w sali »Praca« w Karwinie sztukę narodową pod. tyt. »Jan Kiliński«. Akcja odbywa się w Warszawie w tym samym czasie, kiedy Kościuszko walczył w Krakowie. Udział w przedstawieniu bierze 7 osób (wszyscy w kostiumach narodowych) pod kierownictwem wytrawnego reżysera p. Gattnara Henryka. Ze względu na długość sztuki początek punktualnie o godz. 6 wieczorem. Bliższe szczegóły na ulotkach.

## Kącik szachowy.

**Czarne:** Kf<sub>4</sub>, Pf<sub>7</sub> (2)



**Białe:** Kb<sub>3</sub>, We<sub>7</sub>, Gd<sub>7</sub>, Sd<sub>1</sub>, Pd<sub>2</sub> (5)

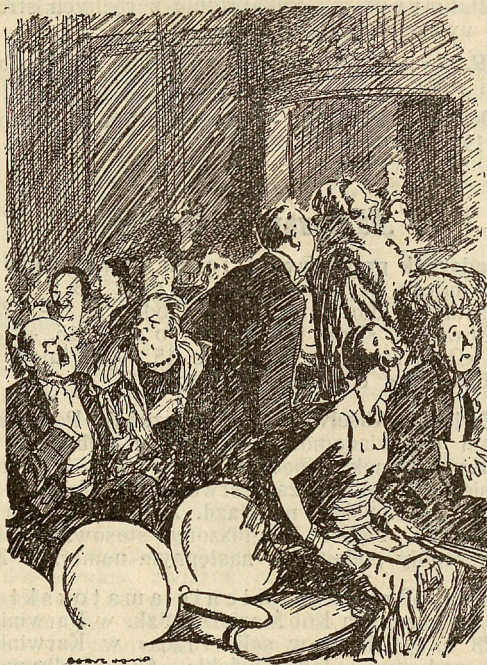
Białe zaczynają i matują w 4 posunięciu.

### Rozwiązanie z Nr. 3.

- |  |  |
|--|--|
| 1. Wd <sub>1</sub> —d <sub>6</sub>             | 1. b <sub>6</sub> —b <sub>5</sub>  |
| 2. Wd <sub>6</sub> —b <sub>6</sub>             | 2. Ke <sub>5</sub> —d <sub>4</sub> (jeśli b <sub>5</sub> —b <sub>4</sub> to) |
| 3. (Wb <sub>6</sub> ×b <sub>1</sub> )          | (3. . . . . dowolnie)  |
| 4. (Wb <sub>4</sub> —We <sub>4</sub> i mat)    |  |
| 3. Ge <sub>7</sub> —b <sub>4</sub>             | 3. Kd <sub>4</sub> —e <sub>5</sub>   |
| 4. Gb <sub>4</sub> —c <sub>3</sub> i mat, albo |  |
| 3. . . . .                                     | 3. Kd <sub>4</sub> —d <sub>3</sub> (e <sub>6</sub> —e <sub>5</sub> )         |
| 4. Wb <sub>6</sub> —d <sub>6</sub> i mat.      |  |

\* \* \*





— Patrz na tych niemądrych ludzi — przechodzą za późno na koncert naszych rewelersów i mają tylko połowiczną przyjemność.

— Mylisz się, kochana, to są mądrzy ludzie. Pokryli już swoje zapotrzebowanie na przyjemność i idą do domu.

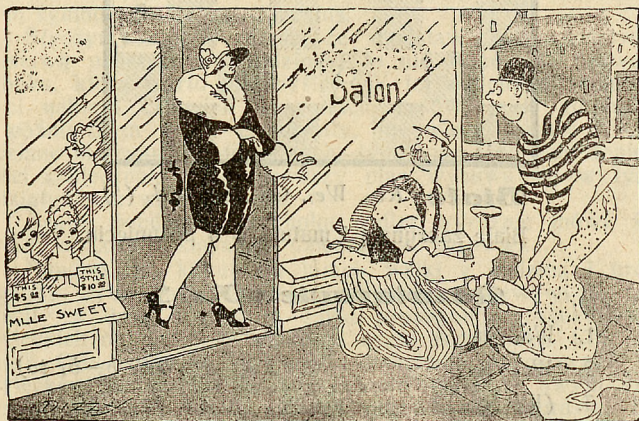
\* \* \*

## Bogu dzięki, nie on.

Ryszard Strauss przygotowywał wspólnie z dyrygentem jedną ze swych oper. Podczas prób ustawicznie się obaj spierali, tak, iż wreszcie Strauss zniecierpliwiony zawołał: — Niech mi pan powie czy to pan, czy ja napisałem tę operę.

— Bogu dzięki, pan — odrzekł dyrygent.

## Salon piękności.



— Par, Francku, jo to dycki powiadam: nie pumoże mydło, woda, jak je człowiek nieuroda!

\* \* \*

## Oczy kobiety.

— Kobiety są jak gwiazdy — mówi poeta.

— A tak; czasem są jak wędrujące gwiazdy, bo rzadko są wierne. Często należą do konstelacji strzelca, bo ciskają błyskawice gniewu i namietności, albo wodnika, kiedy w łzach toną; albo ryby, gdy mrozą najgorętszego — albo barana, kiedy uderzają na zewnętrzne braki oglądanego. Do konstelacji dziewicy tak długo chcą należeć — dokąd nie potrzebują jak rak, cofając się w latach, wyblaknąć.

\* \* \*

## Ukarany.

— Słyszałeś, Józia za pocałowanie panny Julii w policzek skazano na trzy miesiące kozy.

— Wcale ładna kara... Mnie za to samo niegdyś skazano na dożywotne, ciężkie — małżeństwo!

\* \* \*

## Najlepsze radio.

— Mój mężusiu, urządziłbyś u nas w domu radio. To przecież tak nie drogo kosztuje.

— A mnie co po tym? Przecież nowiny z całego świata zawsze mi sama do domu przyniesiesz!

\* \* \*

## Zbawienna zmienność.

— Czemuś taka zdenerwowana, Jadziu?

— Wiesz, sama nie wiem — chwilami zdaje mi się, że już nie jestem sobą...

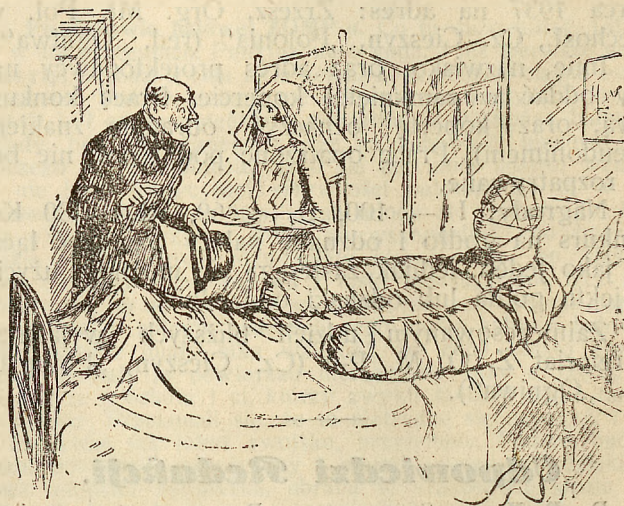
— O, gratuluje!

\* \* \*

Niewiasta do żebraka pod kościołem:

— Co to znaczy? Przecież przed dwoma dniami byliście ślepi?

— Tak, ale jakiś gałgan dał mi fałszywy pieniądz i to mi otworzyło oczy — odpowiedział żebrak.



— Widzisz, nie mówiłem ci, że rozkosze małżeńskie będą dla twego wątłego zdrowia zabójcze?!

\* \* \*